

Dzielnice bezprawia nie znikną same z siebie

12 września 2018

Kiedy autor tekstu nie odpowiada wprost na pytanie, które sam zadaje w tytule, możemy być pewni, że próbuje nam wcisnąć jakąś swoją opinię, którą boi się przekazać wprost. Tak dokładnie robi Hicham Tiflati w opublikowanym przez nas artykule [„Strefy no-go. Mit czy rzeczywistość”](#).

Clichy-sous-Bois, wschodnie przedmieście Paryża

Tekst jest przykładem manipulacji czytelnikami i śliskiej logiki, która ma usprawiedliwiać radykalizm muzułmańskich imigrantów w Europie – a opublikowany został pierwotnie na portalu [„European Eye on Extremism”](#), który ma z radykalizmem walczyć.

Hicham Tiflati nie odpowiada wprost na zadane przez siebie pytanie o strefy no-go w europejskich miastach, ponieważ nie ta odpowiedź go interesuje, lecz przekazanie nam swojego przekonania, że cokolwiek złego można by powiedzieć o imigranckich dzielnicach w Europie, to i tak za wszystko odpowiedzialne są zachodnie rządy, a nie mieszkańcy tych dzielnic.

Pokrętne rozumowanie autora można streścić następująco: owszem, są w Europie dzielnice, które nazywane są no-go, ale tą nazwą posługuję się wrogowie islamu i imigrantów, więc takich dzielnic raczej nie ma. To znaczy są, ale wcale nie są żadne no-go, tylko po prostu jest w nich duża przestępczość. To znaczy, wcale nie przestępczość jest ważna, tylko to, że są to „getta z biednymi, żyjącymi w złych warunkach i stygmatyzowanymi obywatelami”. A dzielnice są biedne, ludność niewykształcona i bezrobotna, bo rządy zachodnie celowo imigrantów w tych dzielnicach umieszczały a potem ich zaniedbywały. I jeśli nawet rządy coś dla nich robią, to jest

to obrzydliwe, bo mieszkańców stygmatyzuje jako gorszych. To znaczy, i tak właściwie nie ma żadnego problemu z żadnymi imigrantami, bo różne grupy imigrantów – na przykład katolicy – były także kiedyś postrzegane źle, a potem się zintegrowały.

To jest prawdziwy majstersztyk: w jednym tekście napisać, że jest problem i że go nie ma. Wszystko po to, żeby w zakamuflowany sposób przekonywać czytelnika, że nie ma co się strefami no-go przejmować.

Spróbujmy zatem rozsypać to, co autor starał się zaplątać.

Istnienie dzielnic zamieszkaných przez imigrantów, w których panuje wysoka przestępczość, określaných terminem „no-go zones” (co dosłownie znaczy „strefy, to których nie ma wstępu”) jest dziś oczywiste. Istnieją w każdym kraju zachodniej Europy, w którym są znaczące liczby imigrantów z krajów muzułmańskich (przykładowo: [tutaj](#) jest opis po angielsku takich miejsc w różnych krajach, a [tutaj](#) po polsku opis takich stref w Niemczech). We Francji nazywane są oficjalnie „Zones Urbaine Sensibles” (strefy wysokiej wrażliwości) a najgorsze z nich to „zones de sécurité prioritaires” (strefy priorytetowego bezpieczeństwa), w Niemczech zwane są „trudnymi dzielnicami”, a w Szwecji „obszarami wrażliwymi” lub „szczególnie wrażliwymi”.

Nazwa „no-go zone” jest wprawdzie łatwa do zapamiętania, ale nie w pełni oddaje charakter tych dzielnic. Daniel Pipes, który pierwszy zaczął stosować określenie „no-go zones” i który osobiście był w kilkunastu z nich w różnych krajach, [uważa dziś](#), że określenie „no-go” jest mylące, że powinniśmy raczej mówić o strefach pół-autonomicznych, ponieważ tak naprawdę nie są one niedostępne.

Zwyczajni obywatele mogą na ogół do takich dzielnic wchodzić (choć niekoniecznie po zmroku), natomiast wrogość i agresja mieszkańców zwracają się głównie przeciwko przedstawicielom państwa, przede wszystkim policji (a czasem również strażakom,

karetkom pogotowia i [nawet listonoszom](#)). Są to strefy bezprawia, w których prawo państwowe słabo działa, a policja jest w stanie prowadzić dochodzenia tylko w sprawach o morderstwa, resztę przestępstw (narkotyki, kradzieże, pobicia, gwałty) pozostawiając bez reakcji.

Najbardziej do tych miejsc pasuje chyba określenie „dzielnice bezprawia”. „Charakterystyczne dla nich są problemy społeczne i obecność kryminalistów, które powodują niechęć ludności do uczestniczenia w działaniach wymiaru sprawiedliwości; powszechne są także trudności, na jakie napotyka policja w wypełnianiu tam swoich zadań” – [pisze szwedzka policja](#) o „obszarach szczególnie wrażliwych”.

Natomiast nie są to dzielnice, w których rządzi szariat, nie są to mini-państwa islamskie w obrębie zachodnich miast. Mają meczety, znaczna część ludności to muzułmanie, ale jeśli coś nimi rządzi, to gangi i młodociani chuligani, a nie imamowie. Owszem, są znakomitymi miejscami rekrutowania islamistycznych ekstremistów, którzy wyjeżdżają na dżihad do Syrii albo wymyślają zamachy terrorystyczne na miejscu. Ludność miejscowa jest zastraszona i stara się stamtąd wyprowadzić, o ile może.

Wbrew temu, co twierdzi autor, fakt, że żyją w tych dzielnicach imigranci muzułmańscy, nie wynika z błędnej polityki państw europejskich. Owszem, ponieważ mnóstwo imigrantów żyje z zasiłków, trafiają do budynków komunalnych, bo niby gdzie mają im władze miejskie znaleźć mieszkania – w najdroższych dzielnicach, żeby czuli się dowartościowani? Większość osób mieszkających w dzielnicach bezprawia wynajmuje tam mieszkania z własnej woli, nie tylko dlatego, że są tanie i coraz tańsze, w miarę jak przybywa imigrantów. Muzułmańscy imigranci chcą po prostu mieszkać wśród swoich.

To jest podstawowy powód powstawania takich dzielnic: nie głupie działanie państwa, lecz chęć mieszkania wśród współwyznawców, najlepiej z tego samego kraju. Ale te mieszkania wśród swoich, z telewizją satelitarną i internetem

pozwalającymi wirtualnie przebywać w kraju ojczystym, tworzy enklawy obcości, utrudniające integrację – o ile w ogóle ci imigranci chcą się integrować. Bo gdyby chcieli, to spokojnie mogliby się z tych dzielnic wyprowadzić, tak jak wyprowadzają się lokalni mieszkańcy. Imigranci żyją w wolnych społeczeństwach i nawet jeśli mają mało pieniędzy, to mogliby sobie znaleźć miejsce do życia gdzie indziej – nie w otoczeniu swoich ziomków.

Wbrew temu, co twierdzi autor, bieda imigrantów nie wynika z tego, że nie troszczy się o nich państwo, ale z tego, że niewiele albo nic nie umieją i nie zarabiają dużo. A znaczna część woli żyć z zasiłków albo – w młodszym pokoleniu – za prostszy sposób zarabiania uznaje kradzieże i handel narkotykami. Podstawowy oczywiście jest brak wykształcenia, ale skoro go nie cenią ani rodzice ani uczniowie, to w jaki sposób państwo ma zmusić ludzi do kończenia szkół i studiów?

[Z międzynarodowych badań PISA](#) wynika, że dzieci imigrantów, urodzone już w Europie, mają gorsze wyniki w szkole, niż dzieci miejscowe i ta zależność się utrzymuje również wtedy, gdy porównujemy grupy o takiej samej zamożności. Po prostu edukacja nie jest przez mniejszości muzułmańskie widziana jako droga do awansu społecznego i lepszego życia. Jeśli komuś zależy, to daje sobie radę: Amineh Kakabaveh, irańska Kurdyjka, która przybyła do Szwecji jako dorosła analfabetka dwadzieścia lat temu i uzyskała azyl, nie tylko skończyła studia, ale od dziesięciu lat jest lewicową posłanką w szwedzkim parlamencie – i twierdzi, że [„Szwedzi są naiwni, jeśli chodzi o imigrację”](#).

Recepta, którą autor proponuje, jest taka: „Rozwiązaniem dla tych, którzy żyją w nędzy społecznej, jest zmniejszanie nierówności społecznych i ekonomicznych oraz promowanie asymilacji ekonomicznej”. Jest to gładki frazes, który nic nie znaczy. Hiflati przytacza tylko taki jeden pomysł, pisząc zresztą na jego temat nieprawdę i krytykując go za nierówne traktowanie obywateli. Chodzi o nowy duński projekt,

„Likwidacji gett do roku 2030”, w którym m.in. zwiększone będą kary za popełniane przez mieszkańców gett przestępstwa, a miliardy koron przeznaczone będą na budowy i remonty domów.

Autorowi nie podoba się, że w gettach karani będą ograniczeniem zasiłków rodzice, którzy nie posyłają dzieci do przedszkola, a rodzice z bogatych rodzin karani nie będą. To, że dzieci z bogatych rodzin znają świetnie duński i nawet jeśli nie pójdą do przedszkola to i tak sobie dadzą radę w szkole, a dzieci z imigranckich rodzin będą się uczyć bardzo źle, bo nie mówią po duńsku, dla autora nie ma znaczenia. Bo wygodniej i politycznie poprawnie jest obwiniać europejskie państwa za wszelkie problemy imigrantów i krytykować każdy pomysł ich integracji.

W opisie Hichama Tiflatiego bieda, przestępczość, radykalizm w dzielnicach imigrantów – to wszystko winą społeczeństw i rządów, które ich zaniedbują, stygmatyzują i zmuszają do mieszkania w tych niebezpiecznych miejscach. Nie przychodzi mu do głowy, że same społeczności imigrantów mogłyby coś dla siebie zrobić, na przykład w oparciu o meczety. Że mogliby stworzyć na przykład zajęcia edukacyjne, uczące kultury miejscowych społeczeństw, organizujące młodzieży wolny czas i pomagające najbiedniejszym mieszkańcom. Imigranci to dla autora po prostu bierna, upośledzona masa, którą ma się zająć państwo, a nie ludzie, którzy mogą sami też coś dla siebie zrobić, mając państwo do pomocy.

By obwinianie państwa było pełne, brakuje tylko, żeby autor napisał, że za terroryzm muzułmańskich imigrantów odpowiedzialne są rządy, bo nie remontują na czas mieszkań komunalnych.

Przyznając w tekście, że w dzielnicach bezprawia, jakkolwiek je nazywać, panuje wysoka przestępczość i obwiniając państwo za ciężki los imigrantów w religijnych gettach, autor na końcu dokonuje zdumiewającej wolty – przekonuje nas, że problem sam zniknie.

„Jeśli chodzi o muzułmanów, wielu badaczy uważa, że to, co widzimy dzisiaj, jest jedynie przejściowym etapem do spójności społecznej, a oni też, prędzej czy później, staną się częścią głównego nurtu” – pisze Tiflati. Tyle, że nie ma żadnego poważnego badacza, który by tak uważał. Przykłady autora mówią o różnych grupach (takich, jak katolicy, Żydzi i Irlandczycy) w Stanach Zjednoczonych – a wszystkie te grupy zintegrowały się nie z powodu działania amerykańskiego rządu, ale dlatego, że chciały się zintegrować: zdobywały wykształcenie, ciężko pracowały, starały się uczyć języka i dostosowywać do miejscowych zwyczajów i zasad.

Natomiast imigranci muzułmańscy zachowują się w Europie zupełnie inaczej i nic nie wskazuje na to, że dzielnice bezprawia znikną z czasem same z siebie.

Autorstwo: Grzegorz Lindenberg

Źródło: Euroislam.pl